



ANTONI LANGE

Rebus

ANTONI LANGE

W CZWARTYM WYMIARZE

Rebus

Dnia 15 sierpnia zginął skrytobójczo, zabity we własnym mieszkaniu w Warszawie, Jan Sędziak, technik, w okolicznościach tajemniczych i niepojętych.

O zbrodnię oskarżony został nasz przyjaciel, Fulgenty Trzon, najspokojniejszy z ludzi, jakich znałem, sąsiad mój bliski, gdyż mieszkaliśmy naprzeciwko siebie, na tej samej wąskiej, zacisznej, dalekiej od środka miasta ulicy. Mieszkaliśmy, że tak powiem, okno w okno i, siedząc każdy u siebie w pokoju, mogliśmy spokojnie palić fajki i rozmawiać ze sobą, nie wysilając głosu. Z naszego mieszkania widać było, jak w latarce, wszystko co się działo u Trzona, i *vice versa*¹; dla dyskrecji też zaprowadziliśmy w oknach wielkie story².

Otóż ten najspokojniejszy człowiek został oskarżony o zbrodnię. Sprawa jednak była nader powikłana: bo jeżeli z jednej strony sąd miał znaczną liczbę dowodów przeciw Fulgentemu, to z drugiej i on miał zupełnie wystarczające fakta przeciw oskarżeniu. Sędzia śledczy po prostu tracił głowę: bo jeżeli z jednej strony stwierdzono *alibi* Trzona, co poświadczyłem ja, pan Mirecki, komersant³, doktor Lędźwiłł, dalej mój służący i stróż mego domu, to znowu stróż domu Sędziaka, jego służba oraz brat stryjeczny ofiary, a jego współmieszkaniec, za pomocą dowodów niezaprzeczonych stwierdzili, że właśnie Trzon był u nich.

Istotnie, w mieszkaniu Sędziaka znaleziono kapelusz Fulgentego, jego laskę, *porte-cigare*⁴, paczkę rozsypanych na ziemi biletów wizytowych z imieniem i nazwiskiem „Fulgenty Trzon”, na koniec sztylet, ten sam sztylet, który oskarżony wczoraj nam pokazywał. Dowody straszne i wprost druzgoczące.

Najsurowszym jednak *corpus delicti*⁵ przeciw naszemu poczciwemu partnerowi szachów i winta⁶ było parę słów, które ten napisał na ćwiartce papieru na biurku, w kancelarii Sędziaka, przy czym podpisał się i wyraźnie podał swój adres; słowa były dziwaczne i, rzecz szczególnie! zrozumialsze dla nas niż np. dla sędziego śledczego. Ostatecznie były to wprost pogroźki pod adresem ofiary. Ale znów stawało się niepojętym, jakim sposobem Trzon mógł pisać atramentem fioletowym, gdy tu w całym domu był tylko atrament czarny, czerwony i zielony.

Ręka jednak bezwarunkowo zdradzała Trzona — i gdy sędzia zapytał oskarżonego, kto pisał te słowa, ten, poblądlszy, rzekł jednak bez wahania: „Ja! Nie pamiętam, jak i kiedy, ale ja!”

I znów sędziemu wydało się szczególnym, w jakim celu Trzon sam się oskarżał, aleć ostatecznie różne bywają stany psychiczne zabójców. Również do fatalnych rezultatów doprowadziły badania daktyloskopijne: na szkle, na papierze, na biurku, na metalowych prętach łóżka nieboszczyka — wszędzie był ten dowód nieomylny: znaki palców Fulgentego. My, świadkowie, po prostu niemieliśmy ze strachu i zdumienia — i chwilami zaczęliśmy sami wątpić o prawdziwości naszych świadectw. Atrament fioletowy był to mój własny atrament, zapewne jedyny egzemplarz w Warszawie, przysłany mi z Norwegii

List

¹*vice versa* (łac.) — na odwrót. [przypis edytorski]

²*story* — zasłony. [przypis edytorski]

³*komersant* (z ros.) — handlowiec. [przypis edytorski]

⁴*porte-cigare* (fr.) — cygarniczka. [przypis edytorski]

⁵*corpus delicti* (łac.) — dowód rzeczowy potwierdzający dokonanie przestępstwa. [przypis edytorski]

⁶*wint* — daw. gra karciana. [przypis edytorski]

przez mego przyjaciela; butelka firmy Andersen & C. zawierała płyn o specjalnym złotym odcieniu i łatwo było poznać ten atrament; istotnie Trzon pisał u mnie jakiś rebus czy zagadkę, gdyż poczciwiec lubił się zabawiać tym sportem. A nawet, rzecz zdumiewająca, niektóre słowa z tych szarad były w tajemniczej epistole, którą znaleziono na biurku denata.

Oto dziwaczne słowa i znaki, w których Trzon przyznał własne pismo.

a a c k s s w
Zły... §§ ska|cze|wan... DA... Wanda
...23...
§§§ cze|ka|wan... DA...

Nędzniku, wydarłeś mi szczęście, ale — jakem zaprzysiągł — nie minęła cię zemsta.

Fulgenty Trzon

(adres)

15 sierpnia!

Wczorajszego wieczora Fulgenty był u mnie, graliśmy w winta, zresztą niefortunnie, bo Fulgenty był wczoraj bardzo gadatliwy; pod wpływem wina burgundzkiego zapewne, opowiadał nam swoją historię miłosną; był chwilami bardzo podniecony, potem na jakie dziesięć minut omdlał; był zupełnie nieprzytomny. Gdy zaś wrócił do siebie, rozmawialiśmy — po krótkim odpoczynku — dalej o różnych przedmiotach. O godzinie pierwszej po północy goście moi rozeszli się do domów, doktor z Mireckim odprowadzili Fulgentego do bramy, sami zadzwonili i stróż domu Trzona jest świadkiem, że od tej chwili jego spokojny lokator nie wychodził na miasto.

Zabójstwo dokonane zostało mniej więcej między godziną 11 min. 17 a godziną 11 min. 27 przed północą. Niepojęte! Doktor, który czuwał nad Fulgentym w czasie jego omdlenia i śledził je z zegarkiem w ręku — zanotował sobie tę samą godzinę i minutę.

Więc jakże? Z jednej strony oczywista, że Fulgenty nie popełnił zbrodni, a z drugiej niemniej widoczne, że tę zbrodnię popełnił.

Sędzia śledczy był przygnębiony: z jego badań wynikało, że absolutnie nikt inny, prócz Fulgentego, nie mógł popełnić tej zbrodni; z naszych znów świadectw niemniej realnie wynikało, że Fulgenty absolutnie nie mógł popełnić tej zbrodni.

Ale i my sami byliśmy zachwiani i przerażeni. Ten sztylet właśnie wczoraj pokazywał nam Fulgenty: słowa wypisane na papierze Sędziaka *moim* fioletowym atramentem — były to mniej więcej te same słowa, które oskarżony mówił u mnie jakimś szczególnym głosem, a i to przypominam sobie, że, gdyśmy się żegnali, Fulgenty nie mógł znaleźć ani kapelusza, ani laski; cygarnica też mu zginęła.

Słowem staliśmy wobec zjawiska przewyższającego rozum ludzki.

Fulgenty Trzon był starym kawalerem i pracował w administracji fabryki żelaza pod firmą: Jules Durand & C-o. Moje zblizenie z Fulgentym trwało od lat kilku, było ono nieco przypadkowe, ale zmieniło się w stosunek bardzo zażyły. Spotykaliśmy się dłuższy czas w pewnej cukierni, gdzie grywaliśmy w szachy. Ponieważ pewnego razu i mnie, i jemu zabrakło partnera, przedstawiłem mu się i zawarliśmy znajomość, a potem jako bliscy sąsiedzi widywaliśmy się niemal ciągle; łączyło nas jeszcze starokawalerstwo i nawet pewne koleżeństwo zawodowe, gdyż ja byłem rysownikiem u N., inżyniera, który znajdował się w stałym stosunku z fabryką Jules Durand & C-o.

Latem, w towarzystwie kilku innych przyjaciół, urządzaliśmy w święta wycieczki zamiejskie, a w zimie chodziliśmy razem do teatru, na koncerty — albo też zbieraliśmy się u siebie na winta.

Z innych osób bywał u mnie profesor Tarło, doktor Lędźwiłł, pan Mirecki, komersant, i inni.

Dnia 15 sierpnia zebrali się ci panowie u mnie; profesor Tarło wyszedł bardzo wczesnie, gdyż miał jakieś posiedzenie; pozostało nas czterech. Oczywiście był i Fulgenty. Szymonowi kazałem sprowadzić z piwnicy dwie butelki doskonałego wina burgundzkiego; przyrządziłem też niezłą wieczerzę, gdyż Szymon był zdolnym kuchmistrem.

Graliśmy w winta, który dziś jakoś kleił się nieszczególnie; ja, co prawda, byłem zawsze graczem lichym. Mirecki grał średnio. Lędzwił był mistrzem nad mistrze w tej sztuce, a wcale⁷ dobrym winciarzem był Fulgenty.

Tymczasem ten był dzisiaj szczególnie zamyślony; najlepszą grę marnował, aż go doktor posyłał do wszystkich diabłów. Więc raz miał niby szlemik w pikach; licytując, powiedział na piki doktora od razu dwa piki; okazało się, że ma tylko trzeciego waleta: leżeli bez jednej. Doktor huczał jak organ, ale Fulgenty był niepoprawny. Miał szlem bez atu, wskutek roztargnienia nie dał przejścia partnerowi — i przepadł bez ośmiu.

Pomimo gniewu doktora, Fulgenty uśmiechał się dobrodusznie, jakby zajęty był zupełnie innymi sprawami. Miewał on takie zagapienia, do czego nawykliśmy, przypisując je natchnieniu szczególnego rodzaju: Fulgenty bowiem układał szarady, zagadki, rebusy, co uważał za bardzo wysoką sztukę; że nas to czasami bawiło wybornie, nikt nie drwił z tej niewinnej manii naszego przyjaciela.

W momentach zagapienia jego oczy blade-niebieskie, zazwyczaj nieco rozpierzchłe — były wyjątkowo rozwiane, prawie wodnisto-powietrzne. Fulgenty nie był piękny; rysy miał dość nieprawidłowe, tak szczególnie złożone, jakby jeden od drugiego uciekał, i to był normalny stan jego fizjonomii; chwilami jednak w momentach bardzo rzadkich i przemijających — wszystkie rozpierzchłe rysy łączyły się w jedną, skondensowaną całość, pełną niesłychanej energii; miał w sobie coś rozkazującego i był w takich chwilach piękny. Ale taka kondensacja wiązała się u niego z pewnym osłupieniem, niejako bezwładem myśli i woli; był to po prostu jakby tęczec psychiczny, zeszywnienie jaźni, połączone z chwilową utratą mowy.

Po jakimś czasie (zazwyczaj po 10-15 minutach) wracał do przytomności, wyczerpany, znużony — a przy tym usposobiony lirycznie i sentymentalnie, skłonny do wyznań i zwierzeń, opowiadał wtedy o swoich rodzicach, o swoich latach dziecińczych, o jakiejś pannie Wandzie, w której się kochał — „jedynej raz w życiu”.

I dziś, pod wpływem wina, a może też i innych — nieznanym nam czynników — Fulgenty dziwnie się rozmarzył — i coraz większe bąki strzelał w wincie.

— Ależ pan gra, jak cap! Cóż do licha? Pewno panu jakieś szarady i rebusy w głowie siedzą... i już pan nie rozróżnia asa od siódemki!

— I jakby pan zgadł — odrzekł najspokojniej w świecie Fulgenty — wymyśliłem nadzwyczajne zagadki.

— No to mów — wtrąciłem, przewidując, że wint dziś się nie uda.

— Dobrze, ale daj-no atramentu, to wam napiszę całą rzecz.

Zaraz podałem mu przybory do pisania, on zaś — patrząc swoim wodnistym okiem dokoła i blade się uśmiechając — mówił do nas.

— Słuchajcie szarady. *Pierwsze* jest i *drugie trzecie* ma twarz, ten, co się naraz ujrzy *pierwsze drugie trzecie*.

Ale nikt nie mógł odgadnąć tej niesłychanej enigmy⁸.

— No, gadaj od razu, Fulgenty, co to znaczy, bo tu nikt nie jest taki mądry.

— Otóż to — z dumą rzekł Trzon. — Więc wam powiem: *Zły* jest i *siną* ma twarz (z gniewu) ten, co się naraz ujrzy z *tyśiną*.

— Brawo, brawo! — wołaliśmy wszyscy, a zwłaszcza Szymon, który był wielbicielem zagadek Fulgentego.

— Ale to nie wszystko. Jeszcze drugą wymyśliłem zagadkę. Masz tu jedenaście liter: *a, a, a, c, e, k, n, s, s, w, z*; ułóż z tego imię rzeki w Ameryce. Potem odrzuć jedną literę — i ułóż nazwę kwiatka. No, kto odpowie?

— Nikt. Sam odpowiadaj.

— Dobrze, otóż rzeka zowie się *Saskaczewan*, a jeżeli odrzucisz *w* — pozostanie dziesięć liter i z nich się zrobi *Sasaneczka*.

⁷wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

⁸enigma — zagadka. [przypis edytorski]

— Cudownie! — wołał doktor — że też panu, panie Fulgenty, przychodzą do głowy takie mądre historie!

— Ba, ba! — mówił ten jakby w tryumfie i pisał na papierze: *Saskaczewan... skacze wan... (tu coś mruczał, jakby skacze wanda — zaśmiał się cichym kocim śmiechem)... kacze... czeka... czeka... wan... wanda... czeka wanda... (zamyślił się nagle). Cha, cha, cha!* przypomniałem sobie, jaki nadzwyczajny rebus kiedyś ułożyłem... Opowiem wam o tym... Ale to jeszcze muszę wam pokazać, bo właśnie dziś odebrałem z naprawy ten nóż, stary pugiński, który kupiłem dawno, dawno temu... Dziś właśnie mija dwadzieścia trzy lata z górą...

To mówiąc, wyjął z płaszcza, koło drzwi wiszącego na wieszadle — dość duży nóż z doskonałej stali angielskiej, z rękojeścią rogową, porysowaną w ornamenta i litery tureckie, używane wśród Serbów mahometan. Nóż był w mocno poblakłej pochwie z czerwonego safianu, oczywiście niemało lat liczącej; ostrze jednak było świeżo nawecowane⁹, błyszcząco świeżo i przedmioty odbijały się w nim jak w lustrze.

Podziwialiśmy nóż, po czym oddaliśmy go Fulgentemu, który go z powrotem włożył do płaszcza.

— Ze dwa tygodnie temu, przeglądając stare rupiecie, znalazłem ten nóż w biurku, głęboko ukryty, i przypomniałem sobie dawne lata... — Po czym dodał ciszej: — starą historię... — I jeszcze ciszej, prawie szeptem: — *czeka Wanda...*

Naraz Fulgenty zamilkł. Oczy jego stały się ognisto niebieskie, rysy twarzy ześrodkowały się niby w posągu marmurowym. Z tym wyrazem niezłomnej energii i potężnej woli — Fulgenty nagle skołowaciał, zeszywniał, nieprzytomny runął na ziemię. Doktor za najwłaściwsze uważał puścić mu krew. Po dziesięciu-jedenastu minutach dopiero (była godzina 11 min. 28) zemdlony obudził się. Brom i szklanka wody selcerskiej z cytryną postawiły go na nogi.

Długi czas jeszcze był jakby nieswój — wreszcie przyszedł do siebie — i wpadł w nadzwyczajny zapał oratorski; mówił zaś tak, jakby to był dalszy ciąg jakiegoś opowiadania poprzedniego.

— Więc ten młody człowiek zjawiał się nagle u panny Wandy... i chociaż nie odznaczał się niczym, ale powiem wam, że od pierwszej chwili poczułem do niego antypatię. Nie sądzę, aby Wanda miała dla niego więcej życzliwości niż dla mnie, ale był to zuchwalec, po prostu wszelkich delikatnych uczuć pozbawiony; gdy ja byłem dyskretny, pełny czci religijnej dla mojej pani, on nie miał dla niej, czułem to wyraźnie, najmniejszego szacunku; gdy ja milczałem, tłumiąc w sercu te wszystkie święte słowa, którymi dla niej przepełniłem się do głębi, on gadał wciąż, jak opętany, niesłychane głupstwa. Wanda śmiała się z niego oczywiście, jako z błazna, gdy ten plótł swoje trzy po trzy. W mojej obecności zachowywała się zupełnie inaczej: poważnie i milcząco, gdyż mówiłem z nią niewiele; głównie się opierałem na kontemplacji wewnętrznej. Jednakże tamten mnie niepokoił: był to skończony technik i dochody miał większe niż ja; nie pozwoliłbym sobie nigdy podejrzewać Wandę o interesowność, a jednakże, być może, stąd właśnie wypływała jego pewność siebie. Nie uważałem go za rywala poważnego, ale coś mnie przeciw niemu burzyło. Bądź jak bądź, moje uczucie — moje przysięgi — jej obietnice... Co prawda, przysięg jej nie składałem, nawet nigdy jej nie powiedziałem, że ją kocham, ale po cóż to było mówić, gdy ona doskonale o tym wiedziała. Prawdziwa miłość obędzie się bez słów; owszem, każde słowo profanuje głębszą uczuciowość. Powiedziała mi wszystko, obiecała mi wszystko bez słów — i tylko umyślnie, dla przyzwoitości, jako dobrze wychowana panna, udawała wobec mnie zimną i obojętną. Teraz jednakże, gdy ten przeklęty młody człowiek się pokazał, w stosunkach naszych nastąpiła jakaś nieuchwytna zmiana. Postanowiłem dwie rzeczy: że na koniec miłość swoją opowiem Wandzie i że tamtego unicestwię... To was dziwi, bo żaden z was zapewne nigdy nie kochał w takim milczeniu i takim nabożeństwie — i tak głęboko, jak ja. Pomyślałem sobie, że go zgładzę, jako wcielenie trywialności, która mi szczęście chce zburzyć... Właściwie, sam nie wiem dlaczego... Miał on dla mnie jakiś dziwny uśmiech, ironiczny i przykry... Tak, tak — właśnie ten uśmiech, przy którym szczyrzył swoje białe zęby — ten uśmiech chciałem unicestwić... A teraz druga sprawa: jak powiedzieć Wandzie, że ją kocham. Nie chciałem i nie mogłem w banalnych

Broń

Miłość, Milczenie

⁹nawecowany — wyostrzony, wypolerowany. [przypis edytorski]

i brutalnych słowach wyrazić całej głębi mego uczucia. Gdyby to można było za pomocą sugestii magnetycznej obudzić w niej rozumienie stanu mego. Ale każde słowo — bezpośrednie, nagie — obrażałoby zarówno mnie, jak i ją. Chciałem jej to wypowiedzieć w sposób tajemniczy i delikatny. I oto, co wymyśliłem. Znałem jednego poetę, co nawet do „Kuriera Świątecznego” pisywał — i tak mu powiadam: — napisz mi wiersz nie długi, ale taki, co by wyrażał, jak kocham pewną damę — i wiem o jej uczuciu dla mnie, ale ona wobec mnie zawsze udaje zimną i obojętną. Napisz mi go tak, żeby go można było ułożyć w rebus; już ja ten rebus sam wyrysuję, bo chcę te swoje oświadczenia posłać jej w formie rebusu. Jeżeli serce jej jest dość przenikliwe i delikatne — odgadnie tajemnicę. Poeta, z przykrością muszę to wyznać, surowo ocenił moją metodę; powiedział, że kobiecie trzeba zawsze mówić wszystko prosto z mostu i brutalnie; kobieta — twierdził — lubi przemoc. Ale, oczywiście, nie chciałem go słuchać. Poeta długi czas się mozolił, bo to trzeba było, żeby był i wiersz czuły i trudny rebus. Na koniec jednak zrobił tę rzecz bardzo dowcipnie.

O, patrzcie! (tu Fulgenty zaczął rysować), jaki to był rebus. Naprzód mamy tu *jeze*, potem idzie *Lilit* — pierwsza żona Adama, pół-diablica z węzowym ogonem; *oś*; małe *c*; drzewko *iwa*; małe *t*; rysunek krowy z dodatkiem *langue française*¹⁰, to znaczy *vache* czyli *wasz*; potem szlachcic starej daty, co miało znaczyć *Lach*; następnie wulkan ziejący ogniem — *Etna*; potem *TY* z uwagą *deutsche sprache*¹¹, to jest *du*; znów rysunek wyobrażający fort albo szaniec; znów słowo wysoki z dopisem *english language*¹², to znaczy *high* czyli *hajt* — i *kochasz* z uwagą *lingua latina*¹³, to jest *amas*; dalej było duże *K*, ułożone z *lo*; moneta hiszpańska 5 pesetas czyli *duros*; rysunek „szczura”, co *na Litwie* mówią *pac*; dalej obraz astronomiczny *zaćmienie*; małe *z*; na koniec kufel piwa, w którym widać *mus*, ale ten *mus* składa się z małych *a*. Taki był rebus — i tak, w sposób delikatny a wyraźny — powiedziałem jej, że ją kocham.

— Co prawda, rzecz nie bardzo zrozumiała.

— Enigmatyczna! naturalnie. Lecz wyjaśnię wam bliżej. Czytajmy naprzód znaki, a potem kombinację znaków. *Jeze-Lilit-oś-c-iwa-t-vache-Lach-Etna-du-szaniec-hajt-amas-ka* z *lo-duros-pac-zaćmienie-z-mus* z *a*. Jeszcze nie rozumiecie? Więc uważajcie, wiersz był taki:

Jeżeli litościwa twa szlachetna dusza,
Niechaj ta maska z lodu rozpaczać mnie nie zmusza.

Kobieta z sercem powinna była całą tajemnicę tego rebusu odgadnąć.

— Podpisałeś się?

— Niech Bóg broni. List był bezimienny, a ja czekałem zwiastowania.

— Nie można powiedzieć, żeby to był najlepszy sposób oświadczenia miłości.

— Obawiam się też, że Wanda nie zrozumiała delikatności mojego sposobu. Była to niewątpliwie dusza wyjątkowa, z tysiąca wybrana, kobieta wyższa, dostojna, ale brakło jej tego subtelnego tonowania uczuć, które właśnie ja uprawiałem. Wierzyłem, że z biegiem czasu mógłbym ją wyszkolić w tym kierunku, jednakże losy postanowiły inaczej. Tego samego dnia, kiedy wysłałem jej pocztą miejską mój rebus, zapukał do mnie jakiś wędrowny kramarz, Bośniak, w barwnym turecko-serbskim kostiumie narodowym; sprzedawał on fezy¹⁴, chusty serbskie i macedońskie, kaftany, gąbki, pantofle i sztylety. Kupiłem sztylet, gdyż dawno marzyłem o takim przedmiocie — wiadomo już dlaczego. Trzy tygodnie temu z górą — przeglądając stare rupiecie — znalazłem nóż, głęboko ukryty w biurku... Widzieliście, sztuka dobra!... Otóż właśnie przypominałem sobie naraż wszystkie marzenia o Wandzie, która na mój list nigdy nie odpisała; przypominałem sobie też dziwną myśl o zabójstwie mego rywala. Nóż był zardzewiały, więc dałem go do wyostrzenia... Patrzcie, toż to dziś 15 sierpnia. Właśnie dnia 15 sierpnia 187... roku, dwadzieścia trzy lata temu — Miałem dzień straszliwy. Doniesiono mi, że się odbył ślub

Broń, Zemsta, Śmierć

¹⁰*langue française* (fr.) — język francuski. [przypis edytorski]

¹¹*deutsche sprache* (niem.) — język niemiecki. [przypis edytorski]

¹²*english language* (ang.) — język angielski. [przypis edytorski]

¹³*lingua latina* (łac.) — język łaciński. [przypis edytorski]

¹⁴*fez* — męskie nakrycie głowy w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

Wandy z tamtym... Osnuł ją swoimi szatańskimi nićmi, duszę promienną opętał, a ja... Nawet mnie nie zawiadomili o ślubie... Wandy nie widziałem już odtąd nigdy. Ale jego spotkałem kilka razy i za każdym razem chciałem mu krzyknąć: „Nędzniku, wydarłeś mi szczęście, ale, jakem zaprzysiągł, nie minie cię zemsta!”. Sztylet nosiłem zawsze przy sobie. Za każdym razem chciałem go przebić, ale jakaś martwota wewnętrzna powstrzymywała mą rękę. I tak z dnia na dzień odkładałem zemstę — aż ostatecznie przeszło to i rozwiało się we mgle; potem Wanda z mężem wyjechała gdzieś na prowincję, o nim zapomniałem, a może w istocie i o niej, choć tylko o niej jednej mogłem pamiętać. O czym-że więcej? Cierpiałem przez nią, ale nawet cierpiąc, błogosławiłem Wandę, boć ona była całą moją wartością wewnętrzną... Czymże byłbym bez niej?... A przecież od dnia jej ślubu — jestem nieżywy. Trzeba wam jeszcze wiedzieć, że Wanda w cztery lata po ślubie umarła: czytałem jej nekrolog w „Kurierze”. Odtąd wszystko się dla mnie skończyło.

— I nigdy się nie spotkałeś już z tamtym?

— Niech Bóg broni. Przestał mnie już zupełnie interesować, zwłaszcza po śmierci Wandy. Zerem był dla mnie. Czasem tylko we śnie pokazywał mi się, jak z mora. Ale nie wiem nawet, co się z nim dzieje. Eh, co gadać! Zmarnowałem życie.

Było już późno. Pożegnaliśmy się i przypominam sobie, że Fulgenty nie mógł znaleźć ani laski, ani kapelusza; musiałem pożyczyc mu własnych.

Nazajutrz koło południa po całym mieście gruchnęła sensacyjna wiadomość: Fulgenty Trzon zamordował Piotra Sędziaka; zamordował go koło wpół do jedenastej w nocy — i rano przed dziewiątą, jak to czasami bywa u zbrodniarzy, zjawił się na miejscu przestępstwa; krążył pod bramą domu ofiary. Natychmiastowo poznał go stróż, zarówno jak służba Sędziaka oraz jego bratanek. Oczywiście też go aresztowano. Zbrodniarz wypierał się swego czynu, ale wobec jawnych dowodów, jak sztylet, kapelusz, laska, pismo własnoręczne, tak się zmieszał, że jednym słowem nie był w stanie zaprzeczyć oskarżeniu i wpadł w całkowite odrętwienie. Z początku oskarżony twierdził, że nie wiedział wcale, jakoby Sędziak był w Warszawie; nie wiedział, że tu mieszka. Czy go znał? Znał, ale bardzo dawno. Czy miał z nim jakiś spór? Miał, ale dwadzieścia trzy lata temu; spór w istocie zapomniany, zresztą nigdy się z nim nie spotykał. Jakiej natury był spór, o tym oskarżony nie chciał mówić absolutnie.

— Czy przyznaje, że to jego pismo?

— Przyznaje. Podpis wyraźny, ale pismo tak energiczne, jakby to pisał młodzieniec, nie człowiek pięćdziesięcioletni. Słowem, pisał to jakby inny Fulgenty Trzon, ale atrament świeży — wczorajszy.

Na karcie były naprzód jakieś niezrozumiałe zygzaki, a potem słowa, będące oczywistą groźbą przeciw zabitemu. Dość niejasne było to, że oskarżony tak dokładnie podał swoje nazwisko i adres.

Również niejasnym było, jakim sposobem Fulgenty, pracownik akuratywny, nagle pewnego ranka, zamiast pójść do biura — znalazł się w obcej dzielnicy miasta — pod jakimś obcym domem (ul. Wieloraka, nr 43), gdzie właściwie nie miał żadnej sprawy. Coś — jak mówił Fulgenty — ciągnęło go w tę stronę; czuł, że musi iść tam, a nie gdzie indziej. Dlaczego? nie wiadomo. Jakiś nakaz nieokreślony, jakaś wola nie własna; po prostu musiał. Trzy razy chciał zawrócić i trzy razy był znów na drodze ku temu domowi.

Słowem — o ile sędzia trzymał się świadectw zdrowego rozsądku oraz mieszkańców domu pod numerem 43 — wszystkie poszlaki były przeciw Fulgentemu. Jednakże z chwilą, gdy wystąpiliśmy my, świadkowie Fulgentego, wobec niewątpliwej uczciwości naszej — dowody przeciw oskarżonemu musiały runąć natychmiast. Od godziny 9 wieczorem do 1 po północy był u mnie; oddawaliśmy się zajęciom najpospolitszym; koło godz. 11 z kwadransem Fulgenty omdlał i był zupełnie nieprzytomny w tym samym czasie, w którym zabity został Sędziak. Potem czuł się nieco osłabiony, wreszcie od pierwszej w nocy do ósmej z rana znajdował się u siebie w domu i na chwilę się nie oddalił, o czym świadczy jego odźwierny, stróż i posługaczka.

Niewyjaśnione były fakta następujące: jakim sposobem sztylet, kapelusz i laska Fulgentego oraz jego bilety wizytowe znalazły się w mieszkaniu Sędziaka; jakim sposobem zabójca mógł pisać moim atramentem fioletowym, którego tu w kalamarzach nie było;

jakim sposobem wypisały się tu zygzaki i słowa Fulgentego; jaka siła wreszcie sprowadziła Fulgentego pod dom Sędziaka.

— Rebus, rebus! — wołał zrozpaczony sędzia śledczy. — Chyba diabeł się tu wmieszał.

Powiedział to głosem tak poważnym i z takim przekonaniem, że nas mimowolny przeszedł dreszcz.

— Nikt inny, tylko diabeł przybrał postać oskarżonego — i on-to popełnił zbrodnię! A może jaka symulacja — dodał już bardziej fachowo.

Blisko miesiąc trwało śledztwo, które nie doprowadziło do żadnych wyników pozytywnych.

Tu nawiasowo zaznaczę, że niemal przypadkiem wpadł mi w rękę dokument, bardzo ciekawy, choć dla sprawy obecnej nie mający znaczenia. Oto na etażerce koło biurka denata, otworzywszy jakąś książkę (coś z technologii), natrafiłem na ćwiartkę papieru, na której był wyrysowany ten sam rebus, co to go nam wczoraj objaśniał Fulgenty. Był to jego „list” sprzed lat dwudziestu trzech. Niżej — pod malowanką — drobnym pismem kobiecym uwiecznione były następujące słowa: „To od tego barana!”.

Nigdy oczywiście tego dokumentu, który dość osobliwie świadczył o jego ubóstwianej Wandzie, nie pokazałem Fulgentemu.

Po miesiącu z górą przyjaciel nasz został wypuszczony z więzienia dla braku dowodów, dostatecznie stwierdzających winę.

Witaliśmy go jak ocalonego z wirów morskich.

Był strasznie przygnębiony. Jego lekka szpakowatość stała się gęstą siwizną; oczy zaś nabrały wyrazu skupionego i wodnistość ich przemieniła się w czysty szafir, nie można powiedzieć — ożywiony, lecz nie pozbawiony mocy. Wychudł i chodził pochylony.

— O mało co obłądu nie dostałem — mówił. A toż ja o tym zabójstwie myślałem dwadzieścia parę lat temu — i w gruncie nie brałem tej myśli nigdy na serio. Potem zapomniałem o niej tak, jak tylko można o czymś zapomnieć. Nie wiedziałem wcale, że Sędziak przyjechał do Warszawy — i dopiero na śledztwie dowiedziałem się szczególnej rzeczy. Oto Sędziak przybył z prowincji tegoż dnia i o tejże godzinie, kiedy ja znalazłem swój nóż bośniacki. Nóż był porzewiały, oddałem go do wyostrzenia i dopiero po paru tygodniach — i to dnia 15 sierpnia — odebrałem go z naprawy. Pamiętacie, że wam ten nóż pokazywał. Nie wiedziałem, że mi go *ten drugi* porwie i zabije nim Sędziaka.

— Co za *ten drugi*?

— No, ten, co zabił. Nie wiem, jak go nazwać. A przecież ja go widziałem.

— Jak to widziałeś?

— Widziałem — na chwilę, Był u mnie w więzieniu. Człowiek (a może nie człowiek), bardzo do mnie podobny, zjawił się u mnie i drwiąco patrzył się w moje oczy. Chciałem z nim porozmawiać, ale zniknął. Mówcie, co chcecie; ja wierzę, że jest jakiś drugi Fulgenty na świecie. Działa on poza mną i beze mnie, ale wykonywa moje czyny, te, których sam zapewne nigdy bym nie wykonał; zabiera mi kapelusze, laski i sztylety. W nim jest moja energia, moja pamięć, moja złowroga siła. To jest mój rebus. *On* to mnie zawiadomił, że Sędziak jest; *on* kazał mi sztylet wyostrzyć, *on* wyszedł ze mnie, kiedy byłem uśpiony; *on* zabił mego rywala. Kiedy we mnie i miłość dla Wandy i pragnienie zemsty dawno już zwietrzały, tamten był wiecznie świeży i wiecznie o tym pamiętał. Dlatego wszyscy mnie widzieli przy ul. Wielorakiej, bo to był *on*.

— A potem już go nie widziałeś?

— Nie widziałem — i nie chciałbym go zobaczyć, bo to moja zła wróżba.

Minęło parę miesięcy. Nadeszła wiosna roku następnego; nasze ostatnie posiedzenie domowe. Fulgenty się uspokoił.

Pewnego razu siedzieliśmy we dwóch — było to u mnie — i graliśmy w szachy; Fulgenty grał niefortunnie i dostał mata. Szymon przyniósł herbatę i rozmawialiśmy o różnych sprawach, gdy naraz, spojrzawszy w okno, w przeciwnym domu zobaczyliśmy w mieszkaniu Fulgentego zapaloną świecę.

— Patrz-no, ktoś tam jest u mnie.

Rzeczywiście, jakiś pan czarno ubrany — krążył po jego gabinecie.

— Kto to być może? Trzeba się dowiedzieć.

W kilka chwil potem byliśmy przed bramą domu Trzona. Koło furty stał stróż i ćmił fajkę.

— Wincenty, powiedźcie, kto to zachodził do mnie?

— A no, prócz pana dobrodzieja, nie widziałem nikogo.

— Co też wy mówicie? — niespokojnie odparł Fulgenty i szybko pobiegł na schody.

Ja za nim.

Otworzyła nam posługaczka Janowa.

— Kto tu przychodził? — zapytał ją nieco zdławionym głosem.

— Dyc¹⁵ pan sam przychodził. Nikogo tu nie było.

Szybko wpadł do swego gabinetu. Nie było nikogo. I świeca się nie paliła. Musiał ulec jakimś złudzeniu.

Zapalił świecę i zaczął się rozglądać dokoła. Mimo woli spojrzął na biurko.

Na białym papierze — formy kancelaryjnej — znalazł, wypisane swoją własną ręką — następujące słowa:

15 sierpnia. Czekaj Wanda. Fulg. Trz.

— Co to znaczy? 15 sierpnia! Czekajmy 15 sierpnia. Teraz mamy koniec marca. Za cztery i pół miesiąca. Urządzą większe zebranie. Będzie dużo osób. Zobaczymy.

Czas mija szybko. Nadszedł dzień, właściwie wieczór 15 sierpnia. Zebrało się u Fulgentego liczne towarzystwo. Byłem oczywiście i ja. Opisywać uczty nie będę, powiem tylko, że o godzinie dwunastej dał się słyszeć dzwonek i wszedł do sali człowiek jak dwie krople wody podobny do Fulgentego, ale jakby pewniejszy siebie. Nasz przyjaciel stał na środku pokoju. Ten drugi szedł ku niemu powoli, ale pewnym krokiem — i, zbliżywszy się, podał mu rękę.

— Czekaj Wanda! — rzekł i w tej samej chwili zniknął, jakby zlewając się z Fulgentym, który na ziemię runął jak długi.

Pękło mu serce.

Sobowtór, Śmierć

¹⁵dyc (reg.) — przecież. [przypis edytorski]

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lange-w-czwartym-wymiarze-rebus>

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Lange, W czwartym wymiarze. Opowiadania, wyd. drugie, Spółka nakładowa "Książka", Kraków [1912].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: hypotekyfidler.cz@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).